№ 17. 24 Kwietnia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z powodu wystawy krajowej.

(Dokończenie.)

Z dwu wyżej wymienionych sposobów oświaty, dla nas nowych (wykłady i muzea), do popularyzowania na wystawie nadaje się zwłaszcza jeden — muzea ludowe.

Byłby to szczegół wysoce pocieszający i zaszczytnie o wystawie mówiący, gdyby dla zaznaczenia postępu w poglądach spółczesnych na oświatę, mieściła na placu typowe muzea ludowe.

W dziale oświaty ludowej znajdzie się pewno miejsce na typ szkoły wiejskiej, na wydawnictwa ludowe, odpowiednie tablice graficzne, być może na normalną bibljotekę ludową. Będzie to zapewne dział odrębny od pedagogicznego, bo odrębny jest zakres oświaty ludowej, odrębne środki. Szkoła ludowa jest jednym z tych środków, jak pedagogika jedną z dróg oświaty ludowej. Ta ostatnia powinna być na wystawie przedstawiona jako zjawisko społeczne, nie szkolne.

Byłby to dział niezmiernie pouczający, gdyby zawierał:

1. Tablice i mapy, przedstawiające stan oświaty w Galicji (choćby wyrażony w stosunku piśmiennych do niepiśmiennych);

2. szkołę normalną, a obok: tablice i mapy statystyczne szkolnictwa; tutaj umieścićby wypadło wykaz wykładów dla ludu w Galicji z oznaczeniem miejscowości i dat:

3. normalne muzeum ludowe; wykaz muzeów dostępnych dla ludu;

4. typową bibljotekę ludową (czytelnię); tablica statystyczna bibljotek i ich stopniowego rozpowszechniania się.

5. wystawę wydawnictw ludowych; tablice statystyczne; bibljografja.

Muszę się zastrzedz, iż nie wiem, co z wymienionych punktów jest już w planie wystawy; wskazałem zakres tego działu dla tego, żeby w nim wyznaczyć z kolei miejsce na muzeum ludowe, bo wiem, że o nim przy układaniu planu niemyślano zgoła.

Co jest muzeum ludowe, jakie ma zadania i zalety, tutaj dla braku miejsca nie powtarzam, powołując się całkowicie na dwie wyżej wymienione rozprawy. Gorącem powołaniem się na nie, pragnąłbym niejako wciągnąć ich tekst do artykułu, żeby wykazać konieczność uzupełnienia wystawy przez stworzenie typowego muzeum.

I w historji wystaw, muzeum takie nie jest nowością. Muzeum ludowe oglądać można było w r. 1889 na wystawie francuzkiej, na Trocadéro. Reprezentowało ono system muzeów kantonalnych pomysłu E. Groult'a, muzeów, które dotąd setkami rozpowszechniły się we Francji. Owe wystawienie muzeum ludowego na Trocadéro przyczyniło się wielce do spopularyzowania idei, do poglądowego kształcenia mas.

Muzeum ludowe musi być z natury swoich zadań popularnem i lokalnem; powinno być popularnem, bo służyć ma nieoświeconym masom, lokalnem zaś — bo z jednej strony ma zadania praktyczne, więc przystosowane być winno do warunków miejscowych (przedewszystkiem ekonomicznych) a z drugiej strony — wobec skromnych rozmiarów — ma obowiązek w pierwszym rzędzie pouczać lud o jego najbliższem otoczeniu.

Muzeum normalne mieścić powinno następujące działy:

1. Dział gospodarski (więc rolniczy, przemysłowy, rękodzielniczy, stosownie do charakteru okolicy, dla której muzeum ma być przeznaczone). Jeżeli lud miejscowy zajmuje się rolnictwem, spotka tutaj wzory narzędzi ulepszonych. W kącie zapadłym czy ma sposobność poznać je w użyciu? Tutaj jest miejsce na wykazanie właściwości gleby, sposobów uprawy racjonalnych, zalet nasion wyższej kultury i t. d. Jeżeli w tejże okolicy istnieje przemysł drobny, albo posiada tylko sprzyjające warunki, muzeum podaje wzory wyrobów, środki wyrabiania, narzędzia i t. p. Do każdego przedmiotu lub grupy dołączone będą objaśnienia, które piśmienni czytać będą i powtarzać niepiśmiennym. Na tych kartach objaśniających umieszczone być mogą wskazówki, gdzie poszukiwać należy informacji bardziej szczegółowych, jaką książkę przeczytać należy w bibljoteczce, gdzie przedmiot nabyć można najlepiej i t. d.

W tymże dziale wisieć powinna tablica honorowa z nazwiskami ludzi, którzy w danym zakresie

przysłużyli się okolicy, bądź wzorowem gospodarstwem, bądź wynalazkiem, lub też zasłynęli w świecie zasługami na tem polu.

W każdym z następnych działów należy umieszczać podobne objaśnienia i odpowiednie tablice honorowe.

2. Dział hygieny popularyzować powinien elementarne zasady szanowania sił fizycznych. Czyż można w książce przekonać lud o wszystkiem? Żołądek alkoholika w preparacie dosadniej mu przedstawi skutki pijaństwa, niż rozprawa moralna. Tego samego dokażą preparaty, pouczające o objawach chorób zakaźnych, okazy sprzętów domowych wyższej kultury, próbki trucizn i t. p.

3. Dział popularno-naukowy gromadzi przedewszystkiem miejscowe okazy flory, fauny, minerałów, ich przetworów z objaśnieniem użytku poszczególnych przedmiotów i szkodliwości. Tutaj znajdują się mapy popularne, pouczające o położeniu miejscowości, względnie do innych punktów kraju i świata; tutaj lud miejscowy dowiaduje się, do jakiego szczepu etnograficznego należy i z jakimi szczepami się styka. O ile możności okazy miejscowe (np. etnograficzne) są tutaj oryginalne, do porównawczych informacji nadają się rysunki, tablice itp.

4. Dział historyczno-pamiątkowy poucza o przeszłości kraju, i specjalnie danej miejscowości, zaznajamia z zabytkami kopalnemi i historycznemi, mieści wizerunki wielkich ludzi. wyobrażenia doniosłych chwil dziejowych, epizodów, walk, prześladowań. Tutaj jest miejsce na pamiątki po wielkich ludziach i chwilach ważnych dla narodu; tutaj za pomocą umiejętnie dobranych przedmiotów zwiedzający uświadamiać się powinni politycznie.

5. Dział artystyczny, jeżeli miejsca starczy, może stanowić całość odrębną; jeżeli nie — przedmioty, do tego działu przeznaczone (reprodukcje), umieścić można, gdziekolwiek będzie miejsce, jako ozdobę całości, zawsze jednak z objaśnieniami.

Do zbiorów muzeum ludowego wcielać trzeba rzeczy niewiele, przytem przedmioty, tłómaczące się łatwo, lecz powinny one, wzięte razem. mieścić w sobie wszystko, co jest w stanie:

1. Zapoznać lud z najbliższem otoczeniem i ich własnym do otoczenia stosunkiem.

2. Zbliżyć do ludu to wszystko. co kultura wypracowała dla ludzi dobrego, a czego nasz lud nie zna i potrzebuje;

3. co jest w stanie uświadomić lud, jako klasę i obywateli kraju;

4. wszystko wreszcie. co może podnieść w ludzie poziom myślenia i uczuwania, nawet poczucie estetyczne.

Ze skromnych, najprostszych zbiorów w muzeum ludowem można zrobić (przez umiejętny dobór i układ przedmiotów, przez dobre objaśnienia i skombinowanie się z czytelnią) żywą księgę, która sama niejako wciągać będzie uwagę zwiedzających i pouczać ich.

* * *

Przechodząc do praktycznej strony projektu, do sposobów urzeczywistnienia powyższego planu na wystawie, wiem z góry, że nie zdołam z daleka, nie znając dobrze stosunków wystawowych, dać tyle wskazówek, by pomysłowość tych, co się wykonaniem zajmą, nie miała planu mego uzupełnić lub zmodyfikować. Zwrócę tylko uwagę na punkta najważniejsze.

Przedewszystkiem sądzę, że głównym, bodaj jedynym warunkiem pomyślnego obrotu sprawy jest wynalezienie osób, któreby urządzeniem muzeum tego sumiennie chciały się zająć. Do kierownictwa potrzeba kogoś, coby z zamiłowaniem kolekcjonowania łączył jasny sąd o społecznem znaczeniu podobnej instytucji muzealnej. Osobie tej trudno będzie obejść się bez współpracowników inteligentnych.

Przypuszczam, że dosyć będzie odwołać się do obywatelskich uczuć młodzieży akademickiej we Lwowie, a ta z pomocą pośpieszy. W przypuszczeniach swoich idę nawet dalej; jestem pewien, że nikt lepiej nad nią nie mógłby się zająć dokładnem urządzeniem całego działu oświaty ludowej na wystawie. Młodzież akademicka przyrzekła w tym roku publicznie, że rocznice narodowe, z których jedną gdzieindziej żałobą obchodzono. zaznaczy w szeregu lat pracą usilną nad oświecaniem ludu. Pojmując znaczenie wystawy dla dalszego rozwoju oświaty, bezwątpienia gorliwie zajmie się tą sprawą, jeżeli komitet pomoc jej przyjmie.

Sporządzenie tablic statystycznych. map, wykazów, objaśnień pociąga dużo pracy, wymagającej pośpiechu i życzliwego a starannego obchodzenia się z nią. Tylko młodzież zbiorowo może tego dokonać z zamiłowaniem.

To samo z urządzeniem bibljoteki normalnej, sporządzeniem bibljografji wydawnictw, a zwłaszcza z urządzeniem muzeum, gdzie wiele pracy poświęcić potrzeba na sporządzenie kart objaśniających, tablic, map itp.

Co do systemu, przedewszystkiem chodzi o wybranie typu muzeum. Pod karą niepowodzenia nie można tworzyć typu idealnego, dajmy na to przeznaczonego dla ludu całej Galicji. Najlepiej byłoby obrać określoną ściśle miejscowość (np. miasteczko N. lub wioski podmiejskie w okolicy Lwowa) i do potrzeb odpowiedniej ludności zbiory zastosować. Jeżeli się nie obierze miejscowości, określić trzeba przynajmniej typ ludności· muzeum ma być przeznaczone dla ludu wiejskiego rolniczego, w glebie żytniej, z zawiązkami (lub bez) przemysłu drobnego itp., co do reszty warunków przypuszczając położenie przeciętne ludu naszego.

Pomieszczenie nie będzie kosztowne; wystarczy niewielki barak wystawowy. Może znajdzie się w planie wystawy chata wiejska, dla celów etnograficznych wystawiona; tę możnaby zużytkować. Szkoła, muzeum, czytelnia, powinny stać w pobliżu i stanowić całość. Na zbiory muzealne wystarczy je-

dna sala; w niej działy rozgraniczyć można ściankami.

Co do okazów samych, można być pewnym, że znajdą się bez kosztów, za darmo. Wiele rzeczy wypożyczyć można z muzeów istniejących lub z kolekcji prywatnych. Przemysłowcy i rolnicy, nadsyłający na wystawę okazy, użyczą bezwątpienia potrzebnych materjałów i przedmiotów (narzędzia rolnicze, nasiona itp.)

W dalsze szczegóły, jak powiedziałem, wdawać się nie mogę; przedstawiam jedynie szkicowy zarys projektowanego muzeum ludowego. Widzimy, że wykonanie nie pociągnie wiele trudności, ani wydatków; zależeć ono będzie całkowicie od dobrej woli osób, które ideę podobnej instytucji ludowej chciałyby widzieć wcieloną w życie. *W.*

Wyrazy niemieckiego pochodzenia.

Język polski obfituje w wyrazy niemieckiego pochodzenia. Aczkolwiek nie rodzime, niemniej przecież są to wyrazy zazwyczaj przyswojone, swojskie. Ale nie brak i dziwolągów, słów żywcem z obcych języków wziętych, z duchem polskiego języka niezgodnych, które tkwią niby obce ciała w żywym organizmie. Liczbę tych dziwolągów ma obecnie pomnożyć słowo „heller“, które z inicjatywy krajowej Rady szkolnej ma być w szkołach obowiązująco używane i tą drogą przedostawać się do mowy potocznej.

Polski historyk galicyjskiej Rady szkolnej oceni należycie ducha, jaki panuje w tej instytucji, która nie waha się używać swej władzy urzędowej dla szerzenia niemczyzny, dla psucia i każenia języka.

Miejmy jednak nadzieję, że społeczeństwo poradzi sobie z ową propagandą i że badacze polskiego języka tyleż się będą liczyli z owym nieszczęsnym „hellerem“, co i dotychczas — w pracach tego rodzaju, jak omawiana poniżej.

* * *

Praca, z którą chcemy zaznajomić naszych czytelników, napisana przez p. Gabrjela Korbuta, nosi tytuł: Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym.*) Autorem oceny, którą tu powtarzamy za warszawskim *Wędrowcem* jest znany na polu językoznawstwa uczony A. A. Kryński.

Każdy bez wyjątku naród, mówi p. A. Kr., pozostając z drugim, sąsiednim w jakichkolwiek stosunkach, bądź pokojowych, bądź wojowniczych, chcąc nie chcąc przejmuje od niego czy to pewne wyroby przemysłu, czy też pewne pojęcia oderwane, przedtem sobie nieznane, a wraz z niemi i gotowe ich nazwy do mowy swojej wprowadza. W dziejach cywilizacji i kultury jest to zjawisko zwyczajne, naturalne. (Niezwyczajnem i nienaturalnem zjawiskiem jest takie, jak zaznaczone powyżej: gdy instytucja, która powinna stać na straży czystości języka, językowi temu gwałt zadaje. *Red.* Dlatego też sam fakt, że jeden naród posiada w swym języku więcej wyrazów obcych, a drugi mniej, nie może być powodem ani upokorzenia dla pierwszego, ani też jakiejś chluby lub sławy dla drugiego. Wiadomo, że skutkiem potężnego wpływu języka Rzymian na język Celtów i innych ludów powstały nowe języki, jak francuski, hiszpański, włoski i inne. Na język niemiecki wywarły znaczny wpływ język łaciński i francuski, przyczem ważnym czynnikiem pośredniczącym było chrześcijaństwo. Język polski w różnych epokach swego rozwoju ulegał wpływowi języka czeskiego, niemieckiego i łacińskiego, w pewnej też mierze jęz. tatarskiego, tureckiego i w części włoskiego. Najwięcej jednak wyrazów do języka polskiego przeszło z niemieckiego, z niego bowiem, więcej niż z innych zaczerpnęliśmy pojęć i nazw pospolitych, które przeszły przez usta ludu i to w epoce, kiedy język polski posiadał większą siłę przyswajania i upodobniania obcych żywiołów. Prócz tego wyrazy, przyswojone z niemieckiego w dalszem następstwie, już na gruncie polskim, rozrosły się w szeregi wyrazów pochodnych. Skutkiem tych wpływów w mowie potocznej dzisiejszej używamy około 16% wyrazów pochodzenia niemieckiego. Tym ciekawym ze wszech miar dziejom licznych pożyczek niemieckich p. Korbut specjalną pracę swoją poświęcił. Dowiadujemy się z niej nietylko jakie wyrazy, w mowie polskiej używane, i w jakiej ilości wzięliśmy od Niemców, ale nadto: z jakiego okresu niemczyzny pochodzą, jak wyglądała wówczas ich postać, jakim zmianom uległy wśród otoczenia polskiego i jakim znów wyrazom pochodnym dały początek. Stosunki polskie z sąsiadami w ciągu wieków dotykały najrozmaitszych stron życia; stąd też żywe ich ślady pozostały w nazwach pewnych urządzeń, zwyczajów i pojęć średniowiecznych, w nazwach urzędów i zwyczajów dworskich, w nazwach rzemiosł, przedmiotów handlu, nazwach sprzętów, owoców, napojów i t. d. Z tych to źródeł pochodzą setki wyrazów takich jak: szlachta, rycerz, klejnot, wójt, rada, sołtys, szafarz, rymarz, puszka, zegar, dzieża, łańcuch, łan, mórg, tama, wał, obszar, cegła, pietruszka, cebula, bawełna, moszcz, jedwab i t. d. i t. d. A są między niemi i takie, których niemieckie pochodzenie, pod szatą pozornie swojską, przy głębszym zaledwie rozważeniu odkryć się daje; jak np. bluszcz, obszar, skiba, stodoła, trąba, sprężyna, wałek, szczerba, szkoda i t. p.

Jedną z najważniejszych stron, charakteryzujących badania w tej pracy jest uwzględnienie, o ile można, dokładne chronologji. Wyrazy bowiem, zapożyczone stawały się własnością języka polskiego w różnych czasach: od wieku XII. do XIX-go. Dlatego też przy dochodzeniu źródeł tych wyrazów autor rozróżnia w samej niemczyźnie trzy stadja jej rozwoju, wykazując, że jedne wyrazy pochodzą z ję-

---

*) Odbitka z t. IV „Prac filologicznych“ Warszawa 1893 8-ka str. 216.

zyka gockiego i starogórnoniemieckiego, inne zapożyczane są ze średniogórnoniemieckiego, inne wreszcie z nowogórnoniemieckiego. Tak np. wyraz „szlachta“ nie jest zapożyczony z nowoniem. *geschlecht,* lecz ze starogórnoniem. *slahta;* „pończocha“ nie z nowoniem. *buntschuh,* lecz ze średniogórnoniem. *buntschuoh;* „marszałek“ nie pochodzi z nowoniem. *marschall,* lecz ze średniogórnoniem. *marescalc;* „figa“ nie nie z nowoniem. *feige,* lecz ze średniogórnoniem. *vîge;* „ratusz“ wzięty ze średniogórnoniem. *rathûs,* nie zaś z nowogórnoniem. *rathaus* itp.

W książce, o której mówimy, autor zebrał i wyjaśnił przeszło 1700 wyrazów pochodzenia niemieckiego. Cały ten słowozbiór przyswojony znajduje czytelnik w końcu dzieła, w formie słownika, gdzie przy każdym wyrazie oznaczone są stronice, na których w tekscie książki wyrazy te są wspomniane lub wyjaśnione.

Praca pana Korbuta, ogarniająca całość przedmiotu, jest wykonana umiejętnie; wnosi też rzetelne światło w dziedzinę naszego językoznawstwa. Zarówno ze względu na treść przedmiotu jak i na metodę naukową, jest ona dziełem wybitnego znaczenia i należy do najlepszych, jakie się w ciągu ostatniego dziesięciolecia w nauce naszej pojawiły. Dodamy, że autor kształcił się pod kierunkiem prof. J. Baudouina de Courtenay i jemu też pracę swoją poświęca.

Z „KWIATÓW GRZECHU“.

Karola Baudelaire'a.

I. Albatros.

Czasami marynarze dla pustej zabawy
Chwytają albatrosy, wielkie morskie ptaki,
Co, niby towarzysze spokojni, mkną w szlaki
Gorzkich otchłani morza, które prują nawy.

Zaledwie je na pokład załoga poniosła,
A natychmiast te króle błękitu wspaniałe,
Bezsilnie opuszczają swoje skrzydła białe,
I ciągną je za sobą, jak drewniane wiosła.

Ten skrzydlak jakże teraz na pokładzie nawy
Niezdarnie się porusza! Jak on śmieszny tobie
Marynarzu, gdy fajkę twą glinianą dziobie
I na niepewnych nogach chwieje się kulawy

Poeta jest podobny do tego chmur pana,
Który burze wyzywa, który drwi z łucznika;
Zaledwie gruntu ziemi stopą swą dotyka,
Wnet chodzić przeszkadzadzają mu skrzydła tytana.

Tłóm. *A. L.*

Polityczne stosunki na Szlązku.

napisał

WOJCIECH SZUKIEWICZ.

(Dokończenie.)

Na Szląsku podział gruntów ogólnie i w zasadzie nie praktykuje się wcale. Najstarszy syn obejmuje ojcowiznę i spłaca resztę rodzeństwa, które nie emigruje mimo to, bo ręce jego zużytkowuje wysoko rozwinięty przemysł fabryczny Szląska. Tym faktem objaśniamy sobie zjawisko, że i grunta włościańskie nie ulegają podziałowi i emigracji nie ma. Nie wszyscy bez wyjątku znajdują pracę przy fabrykach; pewna ilość otrzymuje zajęcie u wielkich właścicieli ziemskich zwłaszcza w gospodarstwie lasowem. I oto jesteśmy przy formie stosunków społecznych, wywierających przemożny wpływ na polityczne życie ks. cieszyńskiego. Wielkich właścicieli ziemskich posiada Szląsk zaledwie trzydziestu kilku. Najpoczestniejsze miejsce wśród nich zajmuje marszałek krajowy hr. Larisch, a zwłaszcza arcyks. Albrecht, w rękach którego znajduje się 13 mil kwadratowych czyli $^1/_3$ całego ks. cieszyńskiego, liczącego 39 m. k. Na przestrzeni tej znajdują się olbrzymie lasy i liczne zakłady fabryczne; jedne i drugie zatrudniają ogromną ilość rąk, lecz ponieważ cała administracja jest niemiecka, wszyscy urzędnicy od najwyższego do najniższego Niemcy, więc rozumie się, że wpływ ich polityczny na ludność polską jest ogromny. Każdemu z urzędników kameralnych wystarczy przy wyborach w y r a z i ć ż y c z e n i e, iż pragnie a raczej chce zostać prawyborcą — a zależna materjalnie ludność oczywista życzeniu takiemu zadość uczynić musi. Rozumie się, że prawyborcy Niemcy wyłącznie na niemieckich kandydatów głosować będą. To też jedynym a i to pytanie czy zupełnie skutecznym środkiem byłoby zaprowadzenie na Szląsku bezpośredniego, powszechnego i tajnego głosowania. Zanim to jednak nastąpi, wpływ urzędników arcyks. Albrechta na ludność polską tak jest wielki, że o jego zneutralizowaniu albo złamaniu i mowy być nie może.

To jest jedna sfera stosunków społecznych, wywierających stanowczy wpływ na polityczne położenie Szląska. Przejdźmy obecnie do drugiej o tyle smutniejszej, że niemniej a wyłącznie z naszej, niczyjej innej winy pochodzącej. Sferą tą są stosunki i spory wyznaniowe, będące raną na ciele społeczeństwa szląskiego, której mogłoby nie być, gdyby... no gdyby nie to, że istnieją na Szląsku dwa, nietolerujące się wyznania: katolickie i protestanckie; że księża katoliccy tak dobrze na Szląsku, jak wszędzie zresztą, wyżej stawiają interes kościoła, niż społeczeństwa lub narodu. Przez czas długi żyły obok siebie obydwa wyznania pobożnie i zgo-

dnie, pracując razem dla wspólnego dobra. Lecz, że licho nigdy długo spać nie rade, więc podszepnęło duchowieństwu katolickiemu na Szląsku nieszczęsną myśl, iż ten tylko może być dobrym Polakiem albo z pożytkiem dla ojczyzny pracować, kto jest katolikiem. Wzniecenie sporów wyznaniowych wśród ludu jednej narodowości, dla którego religja jest rzeczą szczerej, czasami fanatycznej wiary, a nie interesem, jak dla pewnej części duchowieństwa, jest o tyle łatwe, o ile występne i niezmiernie szkodliwe.

Dziś doszło już na Szląsku, niestety, do tego, że ludność jednej narodowości podzieliła się stanowczo na dwa wrogie obozy, które pod egidą sutanny staczają ze sobą szkodliwe obustronnie walki. Nie wiadomo, czem to sobie tłómaczyć, lecz podobnie jak u Słowaków, tak i na Szląsku ewangielicy o wiele są ruchliwsi, bardziej narodowo uświadomieni i uspołecznieni, wskutek czego wybitniejsze w życiu narodowem zajęli stanowisko. Faktem jest niezaprzeczonym, że mimo całego wstrętu zmuszeni byli katolicy przy ostatnich wyborach do sejmu wybrać dwóch ewangielików: Dr. Jana Michejdę z Cieszyna, i p. Jerzego Cieńciałę, włościanina z Mistrzowic, a tylko jednego katolika ks. Swieżego, gdyż więcej kandydatów odpowiednich nie znaleźli. Będziemy mieli i później jeszcze sposobność przekonać się niejednokrotnie, że ewangielicy daleko wyżej stoją na Szląsku od katolików, a mimo to kler katolicki wymyślił i wmówił w lud przeciwne twierdzenie, stawiając wyżej kościół od narodu. Rozdwojenie to byłoby niezmiernie szkodliwe dla rozwoju Szląska i wtedy nawet, gdyby Polacy nie znajdowali się pod obuchem giermanizacji. W obecnem jednak położeniu jestto po prostu niegodnem samobójstwem, a raczej bratobójstwem, za które odpowiedzialność spada na kler katolicki, a pośrednio i na ks. Swieżego, który mimo całego patryjotyzmu wpływu swego użyć i sporów usunąć nie chce. Że, oczywista, Niemcy w rozmaity sposób zgubne to rozdwojenie powiększyć i dla swych osobistych celów wyzyskać usiłują, to się samo przez się rozumie. Gdzie dwóch się spiera, tam trzeci korzysta, zwłaszcza jeżeli tym trzecim jest Niemiec szląski, zamożniejszy, więcej wykształcony i pod każdym względem na niekorzyść żywiołu polskiego uprzywilejowany. Galicja powinna wpłynąć na usunięcie tych gorszących sporów, których zgubność występuje szczególnie podczas wyborów, pogarszając i tak już smutne położenie polityczne Szląska. Najradykalniejszym i najlepszym środkiem usunięcia złego byłoby niezawodnie polityczne wcielenie Szląska cieszyńskiego do Galicji i utworzenie jedności administracyjnej. Wszyscy świadomi rzeczy Szlązacy pragną tego, widząc w połączeniu z Galicją jedyne dla siebie zbawienie, którego znikąd zresztą spodziewać się nie mogą. Galicja powinna podać pomocną dłoń braciom szląskim, a oni przyjmą ją niezawodnie z prawdziwą wdzięcznością. I my sami nie mało na tem zyskamy, gdyż uświadomiony, światły żywioł polski wzmoże się w Galicji na siłach, i będzie mógł skuteczniej walczyć o swoje prawa, niż dotychczas. Przez przyłączenie fabrycznego Szląska dochody krajowe ogromnie się powiększą, a pieniędzy nigdy za wiele. Na tej drodze najłatwiej można sprowadzić korzystną zmianę stosunków politycznych na Szląsku, dziś tak opłakanych.

Oryginał z Piskorzewa

powiastka Junoszy.

(Ciąg dalszy.)

Pan Dezydery był jak oszołomiony.

— Co ty pleciesz kobieto? — rzekł.

— To, co i całe miasto...

— I wierzysz temu?

— Wróble o tem śpiewają, czemużbym wierzyć nie miała?

— Więc jak ci się podoba.. Chcesz wierzyć — wierz, nie chcesz — nie wierz — chcesz mnie opuścić, zatrzymywać cię nie mam prawa — jedź z Bogiem; wolisz pozostać — zostań — to ci tylko powiadam, że w plotkach, które powtarzasz, nie ma za grosz prawdy — ja to mówię, ja! a znasz mnie, że kłamać nie umiem.

— A panie! przebacz babie, jeżeli powiedziała za dużo... ale ja tak naszą nieboszczkę panią kochałam!...

— Idź spać... a zapal mi wpierw lampę w moim pokoju...

— Ja się żenię, ja się żenię! mówił do siebie półgłosem Dezyzery, co za ironja! Choćbym nawet całą przeszłość wyrzucił z pamięci, choćbym zapomniał zupełnie... to z czemżebym nowe życie rozpoczął? cobym dał żonie? ja stary, rozgoryczony, zbolały! Sądziłem, że zbliżywszy się do tego domu, do tych ludzi, znajdę przyjaźń, życzliwość... oni to zrozumieli inaczej.

. . . .

Nazajutrz raniutko pukał do drzwi doktora... Starowina w szlafroku, w czapeczce wyszywanej paciorkami, dreptał już na ogródku i suche gałązki na drzewach przycinał... Usłyszawszy, że ktoś do furtki kołacze, sam pospieszył otworzyć.

— Przepraszam, kochany doktorze, że pana niepokoję tak rano — rzekł.

— To źle, a cóż panu jest?

— I nic, i bardzo dużo zarazem...

— Hm... a no, to chodźże pan do gabinetu, niech cię opukam, zobaczymy... pokaż-no jegomość język.

— Powtarzam, że mi nic nie dolega; możemy i tu pomówić, albo w ogródku...

— To źle, bardzo źle, to coś niedobrego; nigdy jeszcze nie przyjmowałem pacjentów w ogrodzie,

ale kiedy koniecznie sobie pan życzysz, to proszę. Siadaj-że jegomość na ławce, ot tutaj pod kasztanem i mów co ci?... Mów szczerze; doktor jak ksiądz, tajemnicy nie wyda... Może cygaro? pobiegnę i przyniosę...

— Dziękuję, nie będę palił...

— To źle, no słucham...

Pan Dezydery opowiedział historję znajomości i stosunku z domem regenta; doktor uśmiechał się tylko...

— A widzisz — rzekł, wysłuchawszy relacji — widzisz... jak tylko spostrzegłem owe bukieciki, konfiturki, soczki, zaraz powiedziałem: źle!.. bardzo niedobrze... gotowi mi wpędzić pacjenta w... małżeństwo, ale widzę, natura silna, opiera się... Masz jegomość rację, co ci potem? w twoim wieku się żenić, zwłaszcza z młodą kobietą, z elegantką, lubiącą świat, zabawy... to źle!... Znam ja cię, kochany panie Dezydery, chociaż mi się nie zwierzałeś, wiem, żeś tu przyjechał szukać spokoju i odetchnienia, żeś chciał dobrze czynić dla drugich... oto: masz spokój!.. Tak, tak... słusznie mówisz, trzeba wyjechać...

— Jak najprędzej...

— Dobrze; to się jakoś upozoruje... Spędzimy na wątrobę, na nerwy, albo na serce... Przyznaj jednak, jakie są różnorodne z organów naszych pożytki... Spędzimy, bądź spokojny... na cóżby? nie wiem jeszcze... może na płuca, zalecimy wyjazd i kurację, długą, bardzo długą...

— Powiedz im pan, ostrzeż ich, że jestem ciężko chory, że mogę lada dzień umrzeć...

— A nie! to właśnie byłoby źle, byłoby bardzo niedobrze.

- Dlaczego?

— Gdybym im powiedział, że niezawodnie umrzesz w sobotę, dołożyliby wszelkich starań, aby cię ożenić we czwartek, wszakże nie o osobę im chodzi, lecz o majątek. Nie panie Dezydery, w naszym repertuarze lekarskim są choróbki o wiele gorsze od śmierci... wynajdziemy też coś w dobrym gatunku. Jak ci się naprzykład podoba paraliż postępowy, hm? śliczna choróbka!... przez długie lata można z nią żyć, być bezwładnym jak drewno, nie mówić, nie ruszać się wcale, i potrzebować takiej pieczołowitości, jak niemowlę. Powiem, że to panu zagraża, a jeżeli pani Stefanja w takim razie zechce się wydać za pana, to przyznam, że z szaloną namiętnością pokochała... twoje pieniądze. Cóż, zgoda na paraliż?!...

— Zgoda na wszystko, kochany doktorze...

— Ja tam dziś będę, bo regent na wątrobę narzeka — będę i mimochodem, niby od niechcenia wspomnę, że ci taka bieda zagraża — a jegomość idź jutro, powiedz, żem ci wyjazd zalecił i pożegnaj ich zaraz, przejażdżka ci nie zaszkodzi, rozerwiesz się trochę, zobaczysz co nowego. Jedź do Wiednia, do Paryża, lub korzystaj z sezonu i morskich kąpieli użyj — ale wyjeżdżaj jak najprędzej. Gdy za pół roku, albo za rok powrócisz, nie zastaniesz już pani Stefanji... Niecierpliwa to istota, babina z temperamentem. Ręczę za nią, że czasu tracić nie będzie. Frunie w świat szukać drugiego Dezyderego, i znajdzie go... ręczę za to

. . . .

Regent siedział samotnie w kancelarji i zastanawiał się nad pewnym dość zawiłym kontraktem, który miał przygotować na jutro, gdy wbiegła pani regentowa.

Była do najwyższego stopnia wzburzona, pierś jej podnosiła się i opadała, niby fala wezbranej rzeki, oczy miotały błyskawice.

— Mężu — mówiła urywanym głosem — proszę cię, poślij natychmiast twoich świadków do Dezyderego...

— Dobrze duszko — odrzekł, nie patrząc nawet na żonę, ale dopiero za pół godzinki, gdyż Kukasiński teraz drzewo rąbie, a Rzodkiewkę posłałem właśnie po piwo. Nie uwierzysz duszko, jak mnie dziś pragnienie męczy.

— Alboż to świadkowie? — zawołała z oburzeniem.

— Czyż nie wiesz? Piotr Kukasiński i Walenty Rzodkiewka podpisują wszystkie akty w mojej kancelarji. Rujnuję się na tych zbrodniarzy! po piętnaście kopiejek im płacę za jeden podpis. Jak cię kocham!

Pani Marja padła na sofę i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Regent przerażony zerwał się z krzesła.

— Duszko! aniołku, co ci jest, co się stało?!

— Ah, czy ty rozumiesz? podłość, nieszczęście, hańba!

— Na Boga, kobieto! co? jaka hańba?

— Ten niegodziwiec!

— Kto?

— A ten łotr, ten szaleniec, ten stary Donżuan.

— Donżuan? stary? tu w Piskorzewie? Ja chybam się przesłyszał, Maryniu.

— Ha, ty nie wiesz, ty nic nie wiesz!

— Właśnie, chcę wiedzieć, powinienem wiedzieć, jako głowa domu, jako mąż. Uspokój się Maniu, obetrzyj oczy... odpowiedz. Może wody szklankę ci podać?

— Niepotrzeba, już nic nie potrzeba, jestem już uspokojona o tyle przynajmniej, że mogę mówić o tem nieszczęściu; proszę cię, zamknij drzwi na klucz i niech nam nikt nie przeszkadza. Czy nikt nie może podsłuchać naszej rozmowy...

—Jest w pierwszym pokoju dependent.—Wypraw go, proszę, pod jakimkolwiek pozorem, niech idzie na miasto, zrób mu rekreację.

— Jak chcesz duszko, chociaż to ostrożność zbyteczna; on udaje, że siedzi nad wypisem, ale przysiągłbym, że śpi, bo jest co najmniej po czterech kuflach. Będzie mię przeklinał, jeżeli mu przerwę miły spoczynek. Zresztą, czyż nie możemy mówić cicho? Nie usłyszy, drzwi grube... Mów, mów, kochanie, bo stoję, jak na rozżarzonych węglach.

— Ach! otóż widzisz, ten szaleniec, ten łajdak, ten stary lowelas...

— Ależ kto?

— Dezydery, ten wasz poczciwy Dezydery!

— Cóż uczynił?

— I ty się pytasz? Bywał prawie codzień, przyłazil ciągle, zanęcił się do naszego domu jak kot i rozkochał w sobie biedną Stefcię...

— Dezydery?! ależ to żarty Maryniu.

— Żarty! Co chcesz, każda kobieta ma serce, przysyłał kwiaty, wzdychał, przewracał oczami, no i biedna kobieta... uczuła dla niego pewien rodzaj sympatji.. przywiązała się do nikczemnika, tymczasem...

— Przepraszam cię Maryniu, to jest, że tak powiem, coś nadzwyczajnego. Taki Dezydery.. dziad! to nie sposób, żeby młoda kobieta mogła się w nim rozkochać...

— A, nie znasz się na tem; są tajemnice serca. Nieraz wyrzucałam sobie, że ich nie zostawiam ani na chwilę sam na sam, że to mogło być Stefci przykre, ale dziś wdzięczna sobie jestem za tę ostrożność.. Mogłyby być następstwa okropne.

Regent z krzesła się zerwał.

— Maniu! zawołał — co to za mistyfikacja! ty mnie bierzesz na fundusz!

— Mówię zupełnie serjo. Czy wiele trzeba do nieszczęścia? ach, mój drogi, tak zwany moment psychologiczny spada niespodzianie, jak piorun, jak aerolit z nieba. Każda z nas ma serce, ale, na szczęście, czuwałam jak matka... Boże! gdy pomyślę...

— Ale się przecież nic nie stało.

— Owszem, stało się, niestety!

— Maniu, dalibóg nie wierzę.

— Posłuchaj... przyłazil, bo nie powiem, że przychodził.

— No, w tem przyznaję ci słuszność.

— Przyłazil, wzdychał jak miech kowalski, przewracał oczami jak puszczyk, przysyłał kwiaty.

— Nawiasem powiedziawszy, bardzo ładne.

— Tem gorzej, mój mężu, tem gorzej; mówił o smutku, o tęsknocie, o różnych rzeczach. Czy to wielka rzecz zawrócić głowę młodej kobiecie, która potrzebuje kochać, dla której miłość jest nieodzownym warunkiem istnienia, jedynym celem w życiu — więc też biedna Stefcia przywiązała się do niego szalenie.

— No, no; a ja miałem ją dotychczas za kobietę nie głupią.

— Nazwij to jak ci się podoba, szaleństwem, głupotą, czem chcesz, ale fakt jest faktem: potrzeba kochania, właściwość miękkiej, delikatnej natury kobiecej.

— Głupstwo!

— A ludzie widzą, ludzie patrzą, ludzie mają oczy; o przyszłem małżeństwie zaczęto mówić w całem mieście. Ja sama zapytywana w tej materji, nie potwierdzałam, ale i nie zaprzeczałam... Dziś wyobraź sobie, szkaradny dziad przychodzi z pożegnaniem. Zmyśla bajeczkę, że stan zdrowia zmusza go do natychmiastowego wyjazdu, że powróci może za rok, może za dwa, a może wcale nie powróci; żegna się z nami, dziękuje za opiekę w chorobie, za grzeczność, za miłe chwile, jakie spędził w naszem towarzystwie i...

— I co?

— I nic... Powiada, że może się już nigdy nie nie spotkamy, że dni jego są policzone, życzy szczęścia. Osioł!!

— A czegóż miał życzyć?!

— Niczego.. powinien się był oświadczyć Stefci.

— No, oświadczyny moje dziecko, jest to, bądź co bądź akt dobrej woli.

— Dobrej woli? no proszę, więc można w uczciwym domu prawie codzień bywać? można uczciwą kobietę kompromitować? narazić na obmowę, na plotki? A mój mężu, nigdy się tego po tobie nie spodziewałam. Zawsze byłeś nieprzychylny dla mojej rodziny, ale żeby aż do tego stopnia — nie przypuszczałam nigdy... nigdy! nigdy!!

I znów zalała się łzami.

— Więc przez Boga żywego, kobieto! cóż mam robić?!

— Poślij mu świadków natychmiast, w tej chwili, nie zwłócząc ani sekundy.

— Mówiłem ci już, że Kukasiński drzewo rąbie, a Rzodkiewka po piwo poszedł.

— O, mój panie, nie udawaj naiwnego! wiesz dobrze o jakich świadków chodzi. To sprawa honorowa.

— Pojedynek!

— Tak, pojedynek, ja tego żądam, ja — kobieta.

Regent do pierwszego pokoju zajrzał i na cały głos zawołał:

— Panie Szrajberski! biegaj-no pan co żywo, do sekretarza hypotecznego; niech ci na poczekaniu zrobi wypis nieruchomości Nr. 142 bb, przy ulicy Zawrotnej, sukcesorów Berka Noecha Ziegelhorna, tylko pędź natychmiast, bo rzecz wyjątkowo pilna.

Dependent pochwycił czapkę i przecierając oczy wybiegł, a regent powróciwszy do żony, rzekł z gorzkim wyrzutem:

— A Maryniu, doprawdy, żądasz za wiele odemnie!

— Zawiele?!

— Pojedynek; bagatela! a wiesz ty kto ja jestem? a znasz ty odnośny artykuł kodeksu kar głównych i poprawczych? wiesz o czem on śpiewa?

— Wiem, że ty jesteś obrońcą honoru mego i mojej siostry.

— Honoru! ale jakąż rolę gra honor w tym wypadku? Wam się zdawało, że Dezydery chce się żenić, jemu zaś wcale się nie zdawało, interes jest w porządku. Do takiego aktu, moja kochana, trzeba dobrej woli obydwóch stron; jeżeli jedna tę dobrą wolę ma, a druga niema, akt nie przychodzi do skutku. Małe dziecko nawet to rozumie i dziwię się, że kobieta tak rozsądna jak ty.

(Dokończenie nastąpi.)

Towarzystwo Etyczne.

Należy to wprawdzie do dobrego tonu dumnej Europy z pewnem politowaniem spozierać na stosunki Ameryki północnej, prawdą jest jednak, że Nowy Świat nie dla parady nosi tę nazwę, lecz rozwija wiele pierwiastków cywilizacji, które prędzej czy później i u nas się upowszechnią. Etyczne towarzystwo, jakie w Ameryce północnej przed niewielu laty powstało, należy do rzędu tych zjawisk nowoczesnej cywilizacji, których olbrzymią doniosłość niedaleka już przyszłość wykaże.

Zadaniem towarzystwa tego jest niezawiśle od różnorodnych wierzeń religijnych pielęgnować ogólnoludzką moralność, obudzać i wzmacniać wszystko dobre, łączące wspólnie serca wszystkich ludzi. krótko mówiąc, praktycznie rozszerzać ideały moralne. Zostawiając każdemu członkowi wolność wierzenia a zarazem wolność należenia do jakiegokolwiek wyznania, odłącza etyczne towarzystwo zupełnie moralność od religji, usuwa wszelkie teologiczne motywowanie prawd etycznych, a apeluje tylko do serca i rozumu. Ponieważ u wielu ludzi wykształconych wierzenia religijne są mocno zachwiane albo i zniszczone, a nawet u wierzących przybierają różne indywidualne formy, przeto w takich czasach upadku powag dogmatycznych i historycznych jest rzeczą nader niebezpieczną opierać to, co ludzi ma łączyć, na czemś, co ich rozdziela. Że ten rozdział nie jest dzisiaj bardzo szorstki, to zawdzięczamy tylko niepokonalnej sile żywotnej poczciwej ogólnoludzkiej moralności i prostym sympatycznym impulsom, które ponad wszystkie sztuczne szranki łączą ludzi z sobą. Jak długo panowała żywa wiara w dogmaty, tak długo opierało się życie moralne na dogmatach, w naszych krytycznych czasach szerzy się natomiast czysto ludzkie pojmowanie moralności bez wszelkich powag, ceremonji, symbolów i kultów. Nikt nie zaprzeczy, że w takich warunkach towarzystwo etyczne jest niezbędną, piekącą potrzebą społeczeństwa, a że tak jest, przyznało nawet duchowieństwo rozmaitych wyznań w Ameryce i Anglji, gdyż po słabej opozycji zgodziło się ono w końcu, że trzeba przecież pomyśleć o rzeszach ludzi inteligentnych, omijających z przekonania wszelkie kościoły i świątynie, a potrzebujących nauki moralności. Z tego względu wielu duchownych liberalniejszego ducha przystąpiło nawet do towarzystwa etycznego, aby niezawiśle od swego wyznania religijnego pielęgnować czysto ludzką moralność.

Na razie czynność towarzystwa etycznego objawia się w wydawnictwach, poświęconych etyce, w niedzielnych zebraniach, na których prelegenci omawiają temata etyczne, w urządzeniu szkół, w których praktycznie i teoretycznie udziela się nauki moralności, tudzież w urządzaniu szpitalów i innych dobroczynnych instytucji, przystępnych dla wszystkich wyznań bez różnicy. Żywotność i doniosłość tych szlachetnych tendencji jest tem większą, ile że na gruncie wspólnej ogólnoludzkiej moralności stanowią one ogromny postęp idei braterstwa wszystkich ludzi i wszystkich narodów.

Z końcem ubiegłego roku zawiązało się takież towarzystwo etyczne w Berlinie i rozpoczęło już z 1. Stycznia b. r., wydawnictwo tygodnika p. t.: *Ethische Cultur*, „Wochenschrift zur Verbreitung ethischer Bestrebungen. Im Auftrage der deutschen Gesellschaft für ethische Cultur herausg. v. Prof. G. Giżycki. F. Dümmler's Verlagsbuchhandlung. Berlin.“ Kosztuje kwartalnie 1 M. 60 Pf. Dla tych, którzy interesują się sprawami towarzystwa i ruchem etycznym, wyszczególniamy z dotyczącej literatury następujące prace: *William Mackintere Salter*. „Die Religion der Moral. Uebers, v. Giżycki. Leipzig. Wilhelm Friedrich. 1885.“ *Stanton Coit.* „Die ethische Bewegung in der Religion. Uebers. v. Giżycki. Leipzig. Reisland. 1890“. *Die ethische Bewegung in Deutschland.* Berlin. F. Dümmler 1892“. *H.*

Z ruchu literackiego.

Abgar-Sołtan. *Rusini.* Szkice i obrazki. *(Do celu. Semen Kwitka. Hnat sierota. Przy ognisku myśliwskiem.)*

Jeżeli autor, pochodzący ze sfer mieszczańskich lub chłopskich, zawadzi czasem w swych pismach o sfery szlacheckie, pokusi się o ich malowanie, wówczas ogólny chór krytyki w tonie bądź poważnym, bądź drwiącym, zarzuca mu, nawet nie próbując dawać dowodów, że maluje rzeczy i życie, których nie zna. O książce p. Abgara Sołtana, który jest Polakiem i szlachcicem, a więc Rusinów-chłopów, księży, drobnych urzędników itp. zna tylko z widzenia lub z książek, czytaliśmy w rozmaitych pismach bardzo pochlebne recenzje, gdzie podnoszono nie tylko „mistrzowstwo stylu“, ale także „wyborną znajomość rzeczy“, jakie autor zamanifestował w tych opowiadaniach To fakt bardzo smutny, gdyż p. Abgar-Sołtan rzeczywiście zna Rusinów chyba tylko z widzenia, zna tylko parę typów, z jakimi ludzie jego kategorji bliżej stykać się zwykli — guwernera, słuchacza uniwersytetu i — lokaja. Te też typy są bohaterami jego powieści Lecz nie! Bohaterką jest — jego tendencja, streszczająca się w tem, że Rusin wykształcony, wyrwany raz z kolei życia chłopskiego, musi przestać być Rusinem, musi stać się Polakiem albo Moskalem, przy czem naturalnie Rusin, stający się Polakiem, przez autora podnoszony jest do wyżyn ideału, zaś stający się Moskalem albo ginie marnie, albo smaży się za życia jeszcze w smalcu własnej podłości. Jeżeli publiczność polska, czytająca i chwaląca książkę p Abgar-Sołtana sądzi, że daje ona rzeczywiście jakieś realne, prawdziwe i choć trochę głębsze obserwacje z życia Rusinów, a więc, że z tej książki czegoś się dowiedzieć, czegoś nauczyć można, to znajduje się w smutnym błędzie. Dla zabicia czasu, zwłaszcza, jeżeli kogo nie rażą drobne, lecz na każdym kroku rozsiane nieprawdopodobieństwa i naiwności kompozycji, książka jest dobrą, zwłaszcza, że pewnej łatwości i lekkości w opowiadaniu, pewnego gawędziarskiego talentu autorowi odmówić nie podobna. *Iw. Fr.*